



Torun Eriksen
Passage

Jazzland 2010

Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●●

To już trzecia płyta młodej norweskiej wokalistki, kompozytorki i autorki tekstów Torun Eriksen, nagrana dla wytwórni Jazzland (wcześniej ukazały się tam jej albumy „Glittercard” oraz „Preyers & Observations”). Mimo skromnego dorobku, Torun Eriksen jest już artystką w pełni ukształtowaną, zarówno jeśli chodzi o warsztat wokalny czy styl kompozytorski, jak i gatunek muzyki.

Choć jej album został uznany za jazzowy (bywa porównywana z Joni Mitchell), to tak naprawdę mamy tu raczej ambitny, balladowy pop z nikłymi śladami jazzu (harmonia), country i bluesa. Wszystkie utwory i teksty są dziełem liderki, zaś aranżacji (bardzo oszczędnych) dokonał gitarzysta Kjetil Dalland; jego rola w zespole Torun jest szczególnie ekspozycyjna. Zdecydowanie najpiękniejszy i najbardziej wyrafinowany utwór albumu (linia melodyczna, smakowite modulacje, aranż) to ballada „Passage From The Past”. Pozostałe kompozycje, jakkolwiek interesujące, nie są w stanie przebić tego prawdziwego hitu.

Eriksen śpiewa ciepłym, nieco eterycznym głosem o łagodnej barwie i wyrównanej dynamice. Porusza się głównie w swoim naturalnym, środkowym rejestrze; gdy melodia wspina się nieco w górę, w jej wokalu pojawia się delikatne wibrato. Warto wsłuchać się w album „Passage”, który, poza pięknym głosem Torun, prezentuje niebanalne utwory zupełnie pozbawione komercyjnej sztampy. ■

Bogdan Chmura



Offpiste Gurus
Offpiste Gurus

Stunt Records 2010

Dystrybucja: Multikulti

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●○

Punk rock w jazzowym wydaniu. Tak najkrócej można scharakteryzować pierwsze dwa nagrania zespołu Offpiste Gurus. Może nie wywołują salw zachwytu, ale stanowią zapowiedź czegoś interesującego.

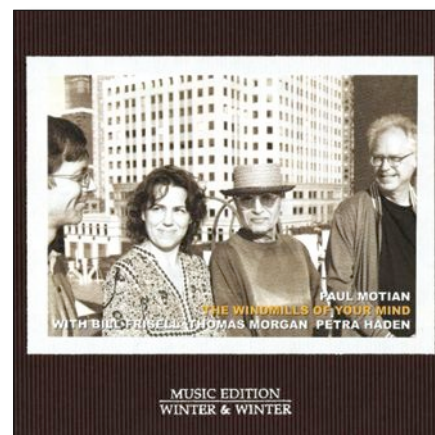
Na czele grupy stoi duet. On – Frederik Lundin – gra na saksofonie; ona – Trinelise Vaering – śpiewa. Oboje napisali i wykonali wszystkie utwory.

Po dwóch pierwszych dynamicznych kawałkach tempo zwalnia i odzywa się melancholijna, choć czasem również zadziorna nuta. Vaering śpiewa, że chciałaby napisać wściekłą piosenkę bez rymów. Potem słyhać więcej jazzu, a saksofon Lundina gra unisono z głosem wokalistki.

Pojawiają się echa innych stylów, bo muzycy lubią też country, roots i trip hop, a do swoich ulubionych artystów zaliczają Toma Waitsa, Rickie Lee Jones i Portishead. Towarzystwo rzeczywiście różnorodne. Mieszanek stylów słyhać w niejednym utworze na płycie, ale wykonawcy panują nad całością. Mimo że czerpią natchnienie z rozmaitych źródeł, stworzyli własną wypowiedź, utrzymaną w jednorodnej konwencji. I za to należą im się brawa.

Poza tym grają dobrze. Zadbali o intrygujące aranże i wpadające w ucho teksty: „Chciałabym ukraść kosztowny przedmiot, który nie ma ceny. Bo mnie nie kochasz i koniec. Zmień temat”. Czy nie ładne? ■

Grzegorz Walenda



Paul Motian
The Windmills of Your Mind

Winter & Winter 2011

Dystrybucja: GiGi

Muzyka: ●●●○○
Realizacja: ●●●●●

Uwielbiam płyty Paula Motiana. To nie tylko jeden z najoryginalniejszych perkusistów i prawdziwy poeta zestawu perkusyjnego, ale także wrażliwy, empatyczny lider i znakomity kompozytor. Często współpracuje z równie niecodziennym gitarzystą – Billem Frisellem. Kiedy obaj firmują jakieś nagrania, to należy się spodziewać, że będą co najmniej bardzo dobre, a często – genialne. Basista Thomas Morgan jest mniej znany, ale i jego kompetencje nie budzą wątpliwości. Kiedy jednak zobaczyłem na okładce nazwisko Petry Haden, opadły mnie złe przeczucia. Okazało się, że nie bez powodu. Córka słynnego basisty Charlie Hadena dysponuje dość przeciętnymi możliwościami głosowymi. W dodatku wyśpiewuje wyświechtane standardy, które znamy z dziesiątków lepszych wykonań.

Reszta towarzystwa dostosowała się do nieco smęczących interpretacji pani Haden i wyszła płyta kołysankowa, działająca lekko nasennie. Większość repertuaru to wspomniane standardy, ale jest też kilka kompozycji Motiana. Zagrane w trio, stanowią najpiękniejsze fragmenty albumu. To dla nich, a także dla oryginalnej okładki (jak to w firmie Winter & Winter) i znakomitej, klarownej realizacji, warto mieć tę płytę. Nie przeszkadza jej stonowany, liryczny charakter, bo to czysta poezja.

Rzecz dla fanów Motiana i Frisella. Innym radzę sięgnąć raczej po wcześniejsze nagrania tych mistrzów. ■

Marek Romański



Herb Alpert & Lani Hall I Fell You

Concord 2011

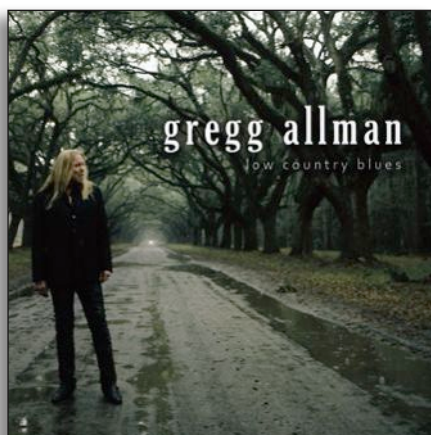
Muzyka: ●●●○○
Realizacja: ●●●○○

Herb Alpert – trębacz, kompozytor, aranżer, lider (także malarz) kojarzy się głównie z muzyką lat 60. i 70., kiedy to prowadził słynną Tijuana Brass Band, a potem rozwijał karierę solową. Dziś jego gwiazda przybladła, zatem dobrze się stało, że się przypominał słuchaczom.

Na płycie znalazły się znane tematy (autorstwa Van Morrisona, Gilberta Beauda, George'a Harrisona, Johna Lennona, Badena Powella), pochodzące z czasów świetności trębacza. Całość jest mieszanką smooth jazzu, muzyki ethnic i popu. Partie wokalne wykonuje Lani Hall (prywatnie żona Alperta), która śpiewa matowym, nieco „zmęczonym” głosem o „rozkołysanej” intonacji; szkoda, że realizatorzy nie poprawili dynamiki najniższego rejestru wokalistki.

Wszystkie utwory to duety Alperta i Hall. Oboje działają w pełnej symbiozie – Lani śpiewa piosenki, a Herb wykorzystuje każdą wolną przestrzeń, by wstrzelić się tam ze swoją solówką lub kontrapunktuje linię melodyczną. Po kolejnym utworze zasada ta staje się już manierą, zwłaszcza że wokalistka nie zaskakuje pomysłami, a Alpert gra schematycznie. Muzyka aż się prosi o odrobinę przestrzeni. Zabrakło też pomysłu na formę – po odśpiewaniu zwrotek ozdobionych trąbką utwór zostaje wyciszony. Szkoda, że nie dano pograć sekcji rytmicznej, która brzmi całkiem przyzwoicie. ■

Bogdan Chmura



Gregg Allman Low Country Blues

Universal 2011

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●●

Gregg Allman, legenda rocka, bluesa i country, założyciel słynnej formacji The Allman Brothers Band, mimo ostrych zakrętów życiowych i zdrowotnych, wciąż pozostaje w doskonałej formie wokalne. Od niemal 40 lat kontynuuje karierę solową, a najnowsza płyta „Low Country Blues” należy do najlepszych w całej jego dyskografii.

Album, poza dwoma wyjątkami, wypełniają standardy bluesowe, tematy m.in. takich gigantów, jak B.B. King, Otis Rush czy Muddy Waters. Soliście towarzyszy podstawowy zespół (gitara, fortepian, kontrabas, perkusja), rozszerzany czasami o dodatkowe instrumenty lub sekcję dętą. Sam lider gra na gitarze i Hammondzie B3.

Muzyka brzmi stylowo i dynamicznie. Wykonawcy to mistrzowie w swoim fachu. Ważną rolę odgrywają aranże, które w dużej mierze współtworzą klimat całości. Jednak osobą szczególnie jest tutaj sam lider. Jego głos, pełen ekspresji i prawdziwie bluesowych emocji (m.in. „Just Another Rider”) robi spore wrażenie.

Album Allmana to mieszanka country i bluesa z lekką przewagą tego pierwszego. Utwór „Please Accept My Love” nie powinien więc nikogo zaskoczyć. Ważną cechą muzyki jest optymizm, który słychać szczególnie w wokalu lidera. Gregg Allman i jego ludzie potwierdzili nie tylko swą klasę, ale też pokazali, że blues to wciąż żywy gatunek o ogromnym potencjale. ■

Bogdan Chmura



Grzegorz Karnas Karnas

Helvhetia 2011

Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●●

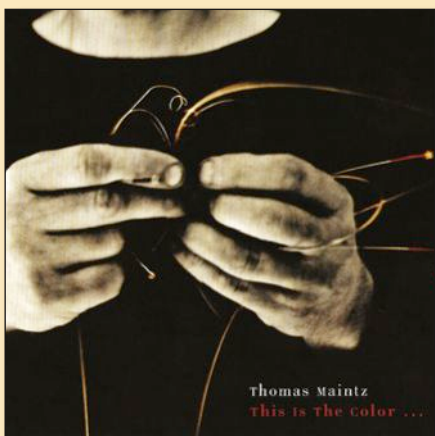
O ile w Polsce nie brakuje świetnych pianistów jazzowych, o tyle z wokalistami jest kłopot. Na tle tej niewielkiej grupy zdecydowanie wyróżnia się Grzegorz Karnas; jego osobowość, bezkompromisowa postawa i oryginalny styl deklasują konkurencję.

Na płycie „Karnas” znalazły się utwory lidera, wykonawców polskich (Dezserter, Dżem) i zagranicznych (The Police, Laurie Anderson, Joni Mitchell). Nie jest to przypadkowa składanka – wymienieni artyści ukształtowali Karnasa jako muzyka i są dla niego istotni także pod względem emocjonalnym.

Całość, utrzymana w klimatach jazzowo-bluesowo-popowych i eksperymentalnych, jest efektem przemyślanych przetworzeń oryginałów, czego efektem jest intrygujący muzycznie materiał o wysokich walorach artystycznych i wyjątkowym brzmieniu. Karnas stosuje rozległy katalog środków wokalnych – od czystej kantyleny, poprzez scat, efekty quasi-perkusyjne, melorecytacje i „nakładki”. Jest też świetnym aranżerem. Współtwórcami albumu są członkowie sekcji: Michał Jaros, Michał Tokaj i Sebastian Frankiewicz. Specjalną rolę improwizatora i kolorysty pełni wiolonczelista Adam Oleś.

Album wymyka się prostym kategoryzacjom. Granice między jazzem, bluesem, rockiem i eksperymentem są bardzo płynne. Muzyka brzmi klarownie i przestrzenie, co jest zasługą wirtuoza masteringu Tadeusza Mieczkowskiego. Album ukazał się na CD, teraz czekamy na jego wersję winylową. ■

Bogdan Chmura



Thomas Maintz
This Is The Color...

Beach Farm 2010
Dystrybucja: Multikulti

Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●●

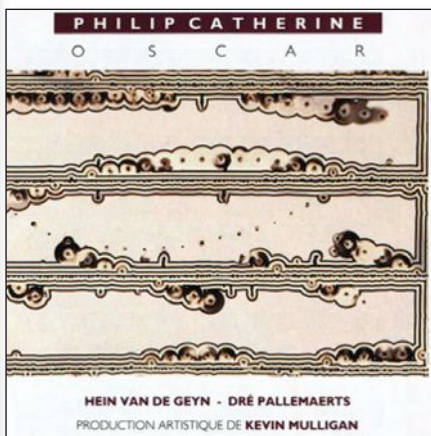
„This Is The Color...” to debiutancki album duńskiego gitarzysty Thomasa Maintza, nagrany w towarzystwie śmientanki jazzowego środowiska z Danii. A wiadomo, że kraj Andersena słynie ze znakomitych jazzmanów. Mamy tu obdarzonego cudownym, aksamitnym tonem saksofonistę Jespera Lovdala i grającą bardzo melodycznie, a przy tym solidną rytmicznie sekcję Thomas Fonnesbaek (kontrabas) i Morten Lund (perkusja).

Dlaczego tacy muzycy zdecydowali się wesprzeć debiutanta? Głównie dla jego gry. Gitara w rękach Maintza staje się plastycznym, wielobarwnym instrumentem, który nie tylko znakomicie dialoguje z saksofonem (to rzadkość; najczęściej gitarzyści wykazują tendencję do dominowania), jak i tworzy subtelne, malowane delikatnymi odcieniami tło.

„Malowanie” to zresztą słowo-klucz do tej płyty. Muzyka jest inspirowana wielkimi malarzami (Joan Miro, Pablo Picasso i inni), a słuchając jej doświadczamy malarzkiej, lekko zamglonej aury, towarzyszącej muzyce. Jest w niej coś odrealnionego, nie z tego świata. Coś, co pozwala zatopić się w tych dźwiękach.

„This Is The Color...” został nominowany do nagrody Płyty Roku w Danii – ewenement w przypadku nagrania debiutanta. Po wysłuchaniu albumu ten wybór staje się oczywisty. ■

Marek Romański



Philip Catherine
Oscar

Igloo 2011
Dystrybucja: www.igloorecords.be

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●○

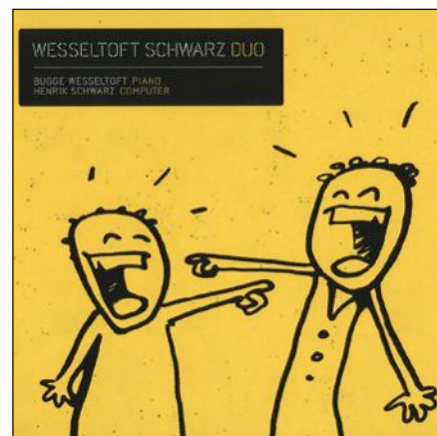
Niedawno odwiedziłem Belgię. To bardzo ciekawa część Europy, pełna serdecznych ludzi, pięknych miast i najlepszego na świecie piwa. Można tam znaleźć także dziesiątki znakomitych muzyków. To zresztą refleksja, jaka towarzyszy mi stale w czasie wędrówek po naszym kontynencie – znacznie więcej wiemy na temat jazzmanów amerykańskich niż o tych ze scen leżących praktycznie tuż za miedzą.

Philip Catherine to gitarzysta trochę już w Polsce rozpoznany. Kilkakrotnie odwiedzał nasz kraj, ponoć nawet spędził upojne chwile w salonach państwa Potockich. Ten muzyk to najwyższa światowa półka. Równie konkretny i skupiony co Jim Hall i eteryczny, słodki jak Pat Metheny – bez kopiowania żadnego z nich. Ma własny głos, równie hipnotyzujący jak u największych amerykańskich herosów jazzowej gitary.

Najlepszym tego dowodem jest niedawno wznowiony przez belgijską wytwórnę Igloo album „Oscar”, na którym towarzyszą mu Hein Van de Gein na kontrabasie, Dre Pallemmaerts na perkusji i okazjonalnie Kevin Mulligan na klawiszach. W jednym utworze usłyszymy też słynnych gości – Joego Lovano na saksofonie i Triloka Gurtu na perkusjonaliach.

To porcja pełnokrwistego, melodyjnego, ale także – gdy trzeba – zadziornego jazzu, granego przez świadomego i oryginalnego artystę. ■

Marek Romański



Wesseltoft/Schwarz
Duo

Jazzland 2011

Muzyka: ●●○○○
Realizacja: ●●●○○

Gdyby ktoś mnie zapytał, czy Bugge Wesseltoft jest dobrym pianistą, miałbym problem z udzieleniem jednoznacznej odpowiedzi. Jego umiejętności wyraźnie odstają od wyśrubowanego poziomu światowej czołówki, natomiast ceni się go jako indywidualistę, twórcę własnego stylu, który nazwał „new conception of jazz”.

Główna idea płyty „Duo” polega na zestawieniu akustycznego fortepianu z elektroniką kreowaną przez doświadczonego didżeja. Sam pomysł ciekawy, realizacja – mniej.

Utwory są do siebie podobne, mało wyraziste, jednostajne. Muzyka nie zmierza do konkretnego celu. Zaczyna się, zanika, eksponuje jakiś motyw, po czym szybko go porzuca. Wykonawcy zachowują się jak dzieci znudzone układaniem tych samych klocków. Spodziewałem się, że już samo zestawienie „skrajnych” brzmień spowoduje jakieś ciekawe napięcia. Niestety, Wesseltoft porusza się w zwietrzalej stylistyce jarrettowskiej (biegniki, ornamentyka, charakterystyczne przednutki, „stojąca” harmonia), zaś Schwarz próbuje – zbyt, jak dla mnie, nieśmiało – nadać muzyce puls i kolor.

Pamiętajmy jednak, że owa beznamiętność, przelewanie się dźwięków i brak jasnych ram formalnych to charakterystyczne cechy „new conception”, nu jazzu i ich klonów. Album może więc przypaść do gustu tym, którzy nie lubią się angażować w dźwiękową narrację i wolą, gdy muzyka po prostu płynie. ■

Bogdan Chmura